IV "Przepowiednia" — bednar94

Od autora: Czwarte opowiadanie o jednym z warszawskich Strażników, żyjących między dwoma światami. Pomysł na to opowiadnie jest swego rodzaju próbą - podobny wątek chcę wykorzystać w przyszłości w grubszym dziele. Stąd prośba o opinie, wskazówki i wszelką krytykę. Podobny zabieg zastosowałem również w opowiadaniu III.
Zapraszam do lektury tego oraz pozostałych opowiadań!

-Gienia, wróciłem! – oznajmił donośnie Antek, otwierając drzwi do własnego mieszkania. Miał dosyć dzisiejszego dnia. Pół dnia użerał się ze studentami na konsultacjach, których dodatkowy termin sam z resztą wyznaczył. Na dodatek lało jak z cebra.

Ubrany w małe, góralskie kapcie i szary zestaw dresowy, z łóżka zeskoczył niski człowieczek z siwą brodą i rzekł:

-Antek! Zmokłeś chłopie, przebieraj się… Jak konsultacje? – zapytał wyjątkowo grubym jak na swój wzrost tonem.

-Koszmar. Mnóstwo głupich pytań. Wiecznie przychodzą błagać o lepsze stopnie. Strata czasu. – odparł Antek nie patrząc nawet na Gienię. Marzył o tym, żeby założyć suche, wygodne ubrania i wegetować do końca dnia na łóżku, patrząc w sufit.

-No taa… - rzucił domowik drapiąc się po głowie.

Niewielka kawalerka mieszcząca się przy ulicy Chmielnej 100 była lśniąco czysta. Był tu tylko jeden pokój, oddzielona kuchnia i mała łazienka. O balkonie właściwie ani Antek ani Giennadij nie pamiętali, bo praktycznie go nie używali. Jasne meble były wytarte z kurzu, naczynia pozmywane, niewielki stół, przytulony do ściany także błyszczał, kolejne pranie już schło, gdy poprzednie, złożone, czekało aż ktoś schowa je do szafy – na tym właśnie polegała praca domowika. Nie tylko Gieni. Domowiki uwielbiały pomagać w gospodarstwie domowym na wszelkie możliwe sposoby. Czuły się wtedy spełnione i szczęśliwe.

-A jak tam w podziemiach, co słychać u reszty Strażników? – zagadnął Gienia przerywając milczenie i wspinając się na jedno z krzeseł

-Szkoda gadać. Mamy spory kłopot z tymi polewikami. Ciągnie się to już ze dwa tygodnie… - odkrzyknął Antek przebierając się w wygodny dres. Miał nadzieję, że w suchych, ciepłych ubraniach będzie mógł zostać już do końca dnia i nikt nie będzie zawracać mu głowy.

-Zawsze myślałem, że to łagodne stworzenia. W końcu co groźnego może zrobić chodząca kupa zboża? – pomyślał na głos Gienia – Poza tym czy one przypadkiem nie powinny chronić pól?

-Może i powinny… Znałeś kiedyś jakiegoś polewika? – odparł Antek pytaniem. Wszedł do kuchni i nalał po szklance zimnego soku pomarańczowego.

-Nie bezpośrednio. Do wszystkiego oprócz strzeżenia ziem i plonów miały raczej słomiany zapał. – zażartował domowik, szczerząc przy tym zęby – Ale co one właściwie robią?

-Ach… - westchnął Antek bezsilnie, przecierając szczupłymi dłońmi bladą twarz – Niszczą ziemię i uprawy, żeby pozbyć się utopców z lokalnych wód. To znaczy… Trują glebę w niedalekich odległościach od rzek. Chyba robią to w nadziei, że utopce się wyniosą, ale ich przecież prawie nic nie rusza. Do tej pory nie wiemy dlaczego mają ze sobą na pieńku.

-Dziwne. – bąknął Gienia – A podobno to utopce utożsamiane są z szujami. Musiały się nieźle narazić słomianym jegomościom.

Antek padł na łóżko jak kłoda. Sprawy, które wydawały się błahe a ciągnęły zbyt długo zawsze go męczyły. Stali właściwie w miejscu, nie mieli prawie żadnych wskazówek, utopce rozpierzchły się w swoich podziemnych jamach – z resztą kto chciałby z nimi obcować – a jedyny polewik, którego zobaczyli z bliska czmychnął, gdy tylko ujrzał Strażników. A nie łatwo było odnaleźć w zbożu coś, co wygląda jak ono. Antek miał szczerą nadzieję, że jutro, kiedy niedługo po świcie będą już na miejscu, uda im się poczynić choć mały krok naprzód. Najlepiej nie używając swoich mocy.

Strażnika z zamyślenia wyrwał Gienia:

-Po misce spaghetti?

-Chętnie. Nic tak nie leczy duszy jak gorący makaron – Antek zacierał dłonie z chęcią. Dopiero teraz poczuł głód.

Woń ciepłego sosu pomidorowego rozpłynęła się po mieszkaniu co jeszcze zaostrzyło apetyt zarówno jednego jak i drugiego. W ciągu kilku minut wchłonęli po wyjątkowo solidnej porcji i położyli się – Antek na łóżku a Gienia pod kaloryferem (uwielbiał tam spać).

Wszystko spowite było czernią. Antek nie widział zupełnie nic, jakby ktoś pstryknięciem palców odebrał mu wzrok. Poruszał się po omacku, ale wydawało mu się, że wciąć kręci się w kółko. Nogi miał ciężkie, jakby zakute w żelazo a jego kroki niosły się dalekim echem. Dyszał ciężko, słysząc własny oddech i szum krwi w skroniach. Chciał wołać o pomoc, z całych sił próbował, ale nic z tego – nie mógł wydusić ani słowa. W powietrzu czuł woń strachu i niebezpieczeństwa, ale nie wiedział skąd ma ono nadciągnąć. Czuł się obserwowany, jakby ktoś obdarł go z całej prywatności. Błagalnie wyciągnął przed siebie blade, zmarznięte ręce, oczekując pomocnej dłoni. Sił starczyło mu już tylko na kilka kroków. Niepewnie postawił stopę i zachwiał się, jakby głośne stuknięcie obcasa o posadzkę zaburzyło jego równowagę. Kolana ugięły się pod nim. Wkładając w to resztkę sił, przesunął stopę jeszcze o kilka centymetrów, ale nie znalazł pod nią twardej podłogi. Nie znalazł pod nią nic. Zapadł się w ciemność, wirując jak szmaciana lalka.

Odzyskał wzrok. Zatrzymał się jakieś dwieście metrów na ziemią i obserwował miasto z lotu ptaka. Nie on jednak sterował swoim ciałem a jakaś tajemnicza siła, której musiał się poddać. Granatowo czarne chmury krążyły groźnie nad metropolią, gotowe zaatakować w każdej chwili. Deszcz padał ostrymi kroplami, bębniąc głośno o szyby wieżowców. To Warszawa. Antek zataczał koła nad Marriottem, obserwując miasto, które wyglądało wyjątkowo ponuro. W dole nie było ani jednego człowieka. Mokrą jezdnią nie jechał żaden samochód ani nawet żaden tramwaj. Krople siepały w beton, chcąc go przebić, ale ten stawiał mocny opór. Cały mokry i zmarznięty, przeleciał nagle w okolice Politechniki. Z tej wysokości wydawała mu się wyjątkowo mała. Nagle usłyszał grzmot, zadzwoniło mu w uszach i zakręciło się w głowie. Piorun uderzył w Plac Politechniki, a kostka brukowa poszybowała w górę. Burza rozszalała się na dobre. Burza, jakiej to miasto jeszcze nie widziało. Chciał obniżyć lot, tak bardzo chciał zejść na ziemię, ale nie potrafił. Znów pochłonęła go czerń. Rzucała nim bezwładnie aż z impetem wylądował na

chodniku, rozbijając czoło.

Wstał. Obraz rozmazywał mu się przed oczami, a w głowie czuł pulsujący ból. Nie wiedział gdzie jest, choć okolica wydawała mu się znajoma. Deszcz nie ustał, przybrał jedynie na sile, a niebo rozbłyskiwało się co chwilę, przeszywane niebieskimi wyładowaniami. Antek ruszył przed siebie, włócząc powoli nogami. Nie wiedział dokąd zmierzał. Z czoła spływała strużka ciepłej krwi a czarne włosy opadały mu na czoło. Grzmoty trzęsły ziemią w posadach a nagłe, jasne błyski dezorientowały go. Chciał zapytać kogoś o drogę, ale na ulicy nie było śladu życia. Nie licząc zgarbionej postaci, która stała na środku trzypasmowej drogi, jakieś sto metrów przed nim. Trwała bez ruchu, jakby na coś czekała. Antek czuł, że nie ma wyboru – ruszył w jej stronę.

Zbliżył się do garbatego człowiek na niewielką odległość. Szybko stwierdził, że to kobieta, miała na sobie szarą, dziurawą spódnicę, starą kurtkę i zdarte, skórzane klapki. Stopy miały powykręcane palce. Od kobiety czuć było odór zgnilizny. Antek rzucił ostrożnie:

-Przepraszam! Proszę Pani!

Kobieta nie odpowiedziała. Stała jak posąg, nie odwracając się nawet. Antek już chciał podejść bliżej i krzyknąć nieco głośniej, ale usłyszał jakiś niezrozumiały bełkot. Ruszyła powolnym krokiem, nadal bełkocząc pod nosem. Nie szła chodnikiem. Zdawała się nie przejmować ani burzą, ani deszczem, ani nawet Antkiem, który podążał za nią. Stwierdził on po chwili, że nie zaszkodzi spróbować raz jeszcze i zapytał:

-Proszę Pani, co to za miejsce? Dlaczego nikogo tu nie ma?

Garbata starucha machnęła jedynie ręką w geście zachęcającym do dalszej podróży. Antek usłuchał i cierpliwie podążał za kobietą, która szła prosto, patrząc pod nogi i wygadując coś w języku, którego nie rozumiał. Nie wiedział skąd się wzięła i skąd on się tu wziął. Czy na niego czekała? Jeśli tak, to dlaczego nie chciała odpowiedzieć na żadne jego pytanie? Dlaczego była sama, czy uciekła z domu? Im dłużej za nią podążał tym więcej pytań rodziło się w jego głowie. Pytań, na które nie znał odpowiedzi i zanosiło się na to, że ich nie pozna. Nie wiedział czy można ufać komuś spotkanemu w takich warunkach a jednak szedł, krok za krokiem, moknąc i marznąc.

Minęło około dwadzieścia minut. Dwadzieścia minut milczącego marszu. Antek nie wiedział czy zbliżają się do celu, o ile w ogóle istniał jakiś cel. Jednak przez cały ten czas nie spotkał nikogo innego. Zupełnie jakby całe miasto wymarło i zostali w nim tylko oni, burza i deszcz.

-Dokąd idziemy kobieto, gdzie mnie prowadzisz? – wypalił ostro Antek, zatrzymując się nagle. Zupełnie niespodziewanie wezbrała w nim wściekłość, która musiała znaleźć ujście.

Kobieta również się zatrzymała. Wyprostowała się, ale nie zaszczyciła Antka ani słowem. Powoli, przesuwając straszne stopy centymetr po centymetrze, odwróciła się w jego stronę i wbiła w niego swoje żółte ślepia. Antka ogarnął paraliżujący strach. Chciał uciec, ale nie mógł się ruszyć. Wszystkie dźwięki nagle jakby zniknęły a on usłyszał gdzieś w oddali płacz małego dziecka…

Zerwał się nagle jak poparzony i usiadł na łóżku, zlany zimnym potem i zmęczony jak nigdy. W kończynach czuł mrowienie tak silne, że musiał je rozmasować. Było mu wyjątkowo niedobrze. Odgarnął z czoła czarne włosy, wilgotne od potu i zanurzył kościstą twarz w szczupłych dłoniach. Potarł mocno oczy w nadziei, że już nie śni. To był koszmar. Koszmar, jakiego nie miał nigdy wcześniej.

-No, na dziś już chyba pospane… - skwitował krótko i wstał, żeby nieco się odświeżyć.

Za oknem zaczął wstawać dzień, choć niezmiennie, jak przez cały lipiec, zapowiadał się on wyjątkowo szaro i ponuro. Z nieba padał rzęsisty deszcz, uderzając rytmicznie o szyby. Antek wyjrzał przez okno. Pierwsze snopy samochodowych świateł przebijały już marazm poranka.

Gienia pochrapywał cicho a na jego pomarszczonej twarzy podrygiwał lekki uśmieszek. On najwyraźniej spał w najlepsze, śniąc o wspaniałych, domowikowych sprawach. Antek przemył twarz zimną wodą. Jego telefon zawibrował nagle, choć nie spodziewał się o tej porze żadnych wiadomości. Nie mogła ona oznaczać nic dobrego:

„Widzimy się na Rondzie Daszyńskiego za pół godziny. Zamykamy temat polewików. Wiemy już o co chodzi. Nie spóźnij się!"

Numer, z którego została nadana wiadomość nie mówił Antkowi zupełnie nic. Ale to musiał być ktoś ze Strażników. O polewikach wie raczej niewiele osób. A smsa raczej mamuna nie wysłała.

-Skoro już i tak nie śpię. Może im się przydam. – szepnął Antek do siebie, unosząc przy tym brwi. Szybko wskoczył w pierwsze pochwycone ubrania, zostawił Gieni krótką notkę i wyszedł.

Przeszedł jakieś dwieście metrów i zarzucił kaptur na głowę. Zrezygnował z komunikacji. Miejsce spotkania było oddalone o jakieś dwadzieścia minut piechotą, poza tym uznał, że poranny, letni deszcz dobrze mu zrobi po ciężkiej nocy. Nie spiesząc się, z małym zapasem czasu, włóczył noga za nogą, rozmyślając o życiu Strażnika. Życiu, które pełne było wyrzeczeń, tajemnic i poświęcenia. Gdy Strażnik złoży ślubowanie wierności, zobowiązany jest do trzymania w tajemnicy wielu informacji, które mogły by wstrząsnąć światem ludzi. Czy było to proste? Antek zawsze twierdził, że to jedno z największych wyzwań, przez które większość z nich, mimo posiadania wielu znajomych, prowadziło samotne życie. Gdzieś w środku tęsknili za szarym bytem, zwykłego człowieka. Poniekąd ślubowali także samotność i dobrze o tym wiedzieli.

Skrzyżowanie, róg Chmielnej i Żelaznej. Antek skręcił w prawo.

Ślubowanie i przyrzeczenia były warunkami koniecznymi do wstąpienia do Kręgu Strażników. Pozwalały one Strażnikom na budowanie swojego społeczeństwa, działanie razem i przede wszystkim ochronę dwóch światów, z którymi obcowali. Światów, które nieświadomie żyły ze sobą w symbiozie od setek lat. Zatem na każdego z nich spadała wielka odpowiedzialność. Każdy z nich prowadził podwójne życie.

Sekret ten był z jednej strony przekleństwem i ograniczeniem. Z drugiej jednak strony był błogosławieństwem, dzięki któremu Strażnicy nie postradali zmysłów i rozumieli zmiany, jakie dotykają każdego z nich. Ich siła tkwiła w zjednoczeniu. Mogli wspierać siebie wzajemnie, odkrywać swoje moce i doskonalić je swobodnie, otoczeni przyjaciółmi. Krótko mówiąc, mogli trzymać się razem. I być wśród swoich.

Antek mijał skrzyżowanie ulicy Żelaznej i Złotej, przechodząc pod drewnianym daszkiem konstrukcji zabezpieczającej przed spadającymi częściami jednej ze starych kamienic. Z kolei dokładnie na przeciwko powstawał zupełnie nowy budynek. Antek uważał ten fakt za wyjątkowo zabawny.

Uszedł jeszcze kilkaset metrów mijając kilka miejsc z sushi, niski biurowiec i kolejne skrzyżowanie – tym razem z ulicą Sienną, gdy nagle coś go zatrzymało. Stanął w deszczu, jako jedna z bardzo niewielu

osób znajdujących się na ulicy i ściągnął kaptur, żeby przekonać się czy dobrze słyszy. Zdawało mu się, że do jego uszu dotarł jęk małego dziecka.

-Co jest do cholery? – rzucił w eter, marszcząc przy tym gęste, czarne brwi. Czuł mieszankę strachu i ciekawości a w organizmie zaczęła krążyć adrenalina. Obejrzał się dookoła. Tych kilku ludzi idących z opuszczonymi głowami, zdawało się nie słyszeć nic niezwykłego.

Coś pokierowało nim do krawędzi chodnika. Stanął jak na baczność i spojrzał na drugą stronę ulicy, dokładnie przed siebie. Powykruszane cegły, ściany porośnięte mchem, okna powybijane lub pozabijane deskami. Obdrapany napis „artykuły szkolne i biurowe" widniejący w witrynie zapewne kiedyś był biały – teraz pochłonęła go smutna szarość. Trzy, bez wątpienia opuszczone piętra, starej kamienicy, na której wisiała nowa, niebieska tabliczka z napisem „ul. Żelazna 43". Antek już wiedział skąd dochodził płacz.

Przeszedł na drugą stronę ulicy, nawet się nie rozglądając. Nie wiedział co zastanie w środku i dlaczego drugi raz w ciągu kilku godzin, choć tym razem na jawie, słyszy taki sam szloch. Jednak budynek czymś go kusił. Chciał, żeby przekroczyć próg jego zardzewiałej, od lat nie otwieranej bramy i zatrzymać w płucach powietrze z dziedzińca. Antek złapał za metalowy pręt i poczuł jak uderzył go chłód, lodowaty podmuch ściskający wnętrzności. Serce zabiło mu mocniej. Zacisnął mocno pięść drugiej ręki, zanurzył się w sile swego żywiołu i uderzył w kłódkę kamienną dłonią. Ta bez przeszkód puściła.

W kieszeni poczuł wibracje telefonu. Dzwonił nieznany numer, który niedawno przesłał wiadomość o zbiórce. Antek odebrał i usłyszał damski, aksamitny głos:

-Jesteśmy już wszyscy jak Ci idzie?

-Ciężko. – odparł Antek – Coś mnie zatrzymało i nie wiem czy dotrę.

-Co to ma znaczyć? – zapytała kobieta szorstko.

-Ruszajcie beze mnie.

-Jesteś zaangażowany w sytuację polewików od samego początku. Masz pięć minut. Inaczej będziesz odpowiadał przed wartownikami! – słychać było jak w głosie kobiety wzbiera wściekłość.

-Może to przeżyję… - odrzekł Antek sucho.

-Co Ty sobie myś… - zaczęła kobieta, ale Antek rozłączył się natychmiastowo.

-Srutu-tutu, nie mam na to czasu. – powiedział i schował telefon do kieszeni. Ruszył przez szary, wilgotny korytarz.

Stanął na środku dziedzińca. Rozejrzał się dookoła. Panowała tu znacznie niższa temperatura niż na ulicy a powietrze pachniało wilgocią i stęchlizną. Zdawało mu się, że nad kamienicą krążą jakby ciemniejsze chmury. Wszystkie szyby były powybijane z białych, podrapanych framug. Ściany wewnątrz niewiele różniły się od przyulicznej fasady. Przez nierówny, popękany beton na dziedzińcu zaczęły przebijać się różne chwasty. Niektóre z nich miały już ponad pół metra wysokości. Antek znów usłyszał cichy jęk. Skupił się i pozwolił, by tym razem obydwie jego dłonie i przedramiona przybrały twardość i wygląd litych skał.

-Gdzieś tutaj muszą być jakieś drzwi – szepnął a jego głos poniósł się po ścianach znacznie mocniej niż się tego spodziewał.

Przeszedł kilka kroków i zobaczył przymknięte, drewniane drzwi. Pchnął je delikatnie. Zaskrzypiały przeraźliwie. Wszedł do środka i zobaczył stare, połamane meble, porozrzucane po korytarzu. Wszystko było zakurzone, połamane i brudne. Z szuflad i szaf chaotycznie wysypywały się ubrania. Tu i ówdzie leżały talerze, garnki i przedmioty codziennego użytku. Jakby ktoś wynosił się w pośpiechu. Szybko obszedł cały parter, ale znalazł jedynie bałagan. Udał się więc w stronę betonowych schodów, by wejść na pierwsze piętro.

Na pierwszy rzut oka piętro nie różniło się zupełnie niczym od parteru. Mnóstwo zniszczonych, drewnianych mebli, brudne dywany, ptasie odchody, gruba warstwa kurzu i nieprzyjemny zapach. Antek omijał zgrabnie wszystkie porozrzucane rzeczy, kiedy zauważył na ziemi kurzą łapkę. Świeżą, leżącą tu dwa, może trzy dni. Jej kolor wydawał się być jaskrawy na tle pozostałych przedmiotów.

-Oho! – rzucił cicho – Zaczyna się robić dziwnie… A już myślałem, że postradałem zmysły. Ale skąd ten płacz?

Zrobił jeszcze kilka kroków i przekonał się, że nie sposób zliczyć ile podobnych kurzych łapek jest porozrzucanych po całym piętrze. Wszystkie były świeże, jakby jeszcze chwilę temu kamienicę zamieszkiwało liczne kurze stadko. Antek poczuł się dziwnie. Jakby zaczęło otaczać go coś niepokojącego, rodzącego panikę. Czuł się podglądany. Cofnął się, odwrócił na pięcie i już chciał iść wyżej, ale stanął jak wryty.

Jego oczom ukazała się stara, zgarbiona kobieta. Ubrana była w brudną, oliwkową kurtkę sięgającą kolan, starą spódnicę w kwiatki i czarne, skórzane klapki, które zdawały się być przynajmniej o dwa rozmiary za małe. Palce u stóp miała powykręcane w różne strony, dłonie kościste a palce dłoni długie, zakończone szponiastymi paznokciami. Siwe, rozczochrane włosy sięgały jej do ramion. Podniosła wyjątkowo pomarszczoną twarz i wbiła w Antka żółte ślepia. Już raz ją spotkał. I zdawało się, że ona wie o tym tak sam dobrze jak on.

-Widziałem cię. – bąknął Antek, choć chciał, żeby to kobieta przerwała milczenie – W swoim śnie!

-I ja cię ujrzałam młody człowieku – powiedziała kobieta niskim, gardłowym głosem – To los chciał skrzyżować nasze ścieżki. To było nam pisane.

Antek milczał. Nie wiedział co robić. Z pewnością kobieta nie była zwykłym człowiekiem, ale skąd się tu wzięła? Zwabił go tu płacz dziecka, który teraz zupełnie ucichł. Zamiast znaleźć kogoś potrzebującego pomocy, spotkał staruchę z koszmaru. Postanowił pociągnąć rozmowę.

-Kim jesteś? I dlaczego mnie tu sprowadziłaś? Co tu robię? – wylał z siebie pytania, które cisnęły mu się na usta, ale kobieta tylko uśmiechnęła się zdawkowo, ukazując szare, ostre zęby:

-Nie mam imienia, choć ludzie nazywają mnie różnie. Roga, Korizma, Perchta, Ragana, Bogorkań, Czarna Annis. – odparła charcząco kobieta obserwując strażnika i dodała po chwili – Czy już wiesz? Nie wyglądasz na najbystrzejszego, ale ta zagadka nie powinna sprawić ci kłopotu.

Antek rozszerzył oczy. Dobrze znał odpowiedź.

-Jesteś… Jędzą. Jesteś Babą Jagą!

-Brawo Strażniku! – krzyknęła kobieta, przyklaskując dłońmi z radością – Tak tak, dobrze wiem kim jesteś…

-Czego ode mnie chcesz? Wynieś się z miasta albo zawiadomię cały Krąg! To ty przynosisz deszcze, smutek i przygnębienie! To ty jesteś za to odpowiedzialna! – ryknął Antek, zaciskając pięści tak mocno, że na podłogę posypała się skruszona skała. Cofnął prawą nogę i ustawił się w pozycji do walki.

-Czego chcę, czego chcę… - przedrzeźniała Antka starucha nie odrywając od niego żółtych oczu – Nie wiem! Ale musimy się przekonać, bo los tak chciał. Czy w twoim sercu gości już strach? – zapytała przekrzywiając głowę na bok jak dzikie zwierzę, które wyraźnie się czymś zainteresowało.

-Nie spodziewaj się… - warknął Antek

-Wybór w takim razie należy do ciebie Strażniku. – szepnęła kobieta i odwróciła się powoli. Drobiąc kroki, ruszyła przed siebie w stronę schodów na kolejne piętro.

Antek stał bez ruchu. Jego serce kołatało jak wściekłe. Zastanawiał się czy to co przed chwilą widział było prawdziwe. Mógł pokierować się do chodów prowadzących na niższe piętro, wyjść na dziedziniec, popędzić na przystanek i być może dogonił by jeszcze pozostałych Strażników. Miał możliwość ucieczki i wymazania z pamięci tej dziwnej sytuacji.

Ale jakie będą tego konsekwencje? Co, jeśli faktycznie tak miało być? Jeśli miał się z spotkać z Jędzą? Musiał wiedzieć.

Ostrożnie postawił pierwszy krok, czując jak odrętwienie ustępuje z całego ciała. Nie wiedział co czeka go piętro wyżej. Znał Baby Jagi jedynie z legend, opowiadań i starych ksiąg. Ale wiedział, że jeśli chciała by go pożreć, zrobiła by to z łatwością. Nie przybyła tu po to, by z nim walczyć. Dla tego stworzenia, walka z jednym Strażnikiem to żadne wyzwanie. Ich los musiał być ze sobą spleciony w jakiś dziwny, niewyjaśniony sposób.

Kiedy znalazł się na górze, ujrzał mały pokoik, w którym tlił się ogienek. Nad nim, na metalowych łańcuchach dyndał czarny, żeliwny kociołek, w którym bulgotała leniwie zielona maź. Pokój wypełniał zapach słodkiej fermentacji. Antka mocno zemdliło, ale wszedł do pokoju.

-A więc jednak! Postanowiłeś poznać tajemnicę! – zarechotała jędza, trzaskając przy tym kośćmi palców.

-Chcę tylko, żebyś zniknęła z Warszawy. Nikt cię tu nie potrzebuje.

-Mylisz się Strażniku! – odwróciła się z niesamowitą prędkością – W tym mieście to ty i twój Krąg potrzebujecie mnie najbardziej! I ja potrzebuję ciebie! Przeznaczenie musi się wypełnić!

-Jakie przeznaczenie?!

-Nadchodzącego mroku… - szepnęła kobieta.

Antka sparaliżowało od stóp do głów. Nie był w stanie się poruszyć, choć starał się z całych sił. Jakby ja-

kaś tajemnicza siła zawładnęła jego ciałem. Zaczęło mu się wydawać, że pokój zaczyna wibrować, wydając przy tym niski, ledwo słyszalny pomruk. Kobieta wyprostowała się, odchyliła głowę do tyłu nienaturalnie mocno i podniosła ramiona. W przerażającej pozycji, bulgoczącym głosem, wydobywającym się nie z niej, ale jakby z każdej ze ścian budynku, wyrecytowała:

- Księżyc za dnia świtać będzie,
Pokoju już nadciąga kres,
A oskarżając – będziecie w błędzie,
Koniec strażników bliski jest!
To mrok nadchodzi z czterech stron,
A więc ostrzegam Cię młodzieńcze,
Nie ufaj mu, to właśnie on,
Zgliszcza zostawi najciemniejsze!
Kiedy cień pożre to co jasne,
A wy w swą siłę uwierzycie,
Stracicie wszystko, to co własne
I czerń przed sobą zobaczycie!
Gdy cztery zwierzęta zbudzone ze snu,
Z oków uwolnią się po wiekach
Zdradzi cię ten, co ufasz mu,
Ten, na którego czekasz!

Jędza zamilkła, i stała jakby zamrożona, ciągle w tej samej, strasznej pozie. Antek nie słyszał już nic poza niskim buczeniem pokoju. W powietrzu zaczęły lewitować tajemnicze, czarne cząsteczki, niewiadomego pochodzenia, jakby unoszące się z podłogi. Siła, która trzymała go w ryzach zdawała się oddziaływać jeszcze mocniej. Czuł ucisk w klatce piersiowej. Chciał stąd uciec i zniszczyć, to co go otacza. Nie rozumiał ani słowa z tego co powiedziała jędza i frustrowało go to. Czuł złość. Zamknął oczy i skupił się jedynie na tym, by jego żywioł wyciągnął go z tarapatów.

Nagle wszystko odpuściło. Nastała cisza, tajemnicze więzy zniknęły. Ramiona Strażnika tak szybko jak nigdy przeszły transformację w twardą skałę. Intuicyjnie wystrzelił lewym sierpowym. Pięść przeszyła powietrze ze świstem.

Otworzył oczy i jedyne co przed sobą zobaczył to stary, obskurny pokój pełen gratów i dym. Czarny, gęsty dym, skupiający się w jednym miejscu. Zupełnie jakby coś przed chwilą rozpłynęło się w powietrzu.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

bednar94, dodano 25.08.2017 10:40

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.